ROZMAITOŚCI.

Dnia 12. Listopada. № 46. Roku 1856.

PAN SKARBNIK DROHORUCKI.

Dykteryjka staroszlachecka.

Jużto mówiąc bez wszelkiej obmowy i inwidyi, nieboszczyk pan Skarbnik, lubo szlachcic niepospolitego pochodzenia, ba nawet familiant całą gębą, boć i karmazyn, i z JOO. i JWW. zostawał w kolligacyi, byłto sobie pieniacz nielada, który w swoim czasie mógł był przyćmić całą palestrę lubelską a nawet samego pana Kurdwanowskiego, coć przecie w tej mierze na całą koronę tak niepospolitej używał reputacyi. W każdym innym względzie był pan Dyzma cale poczciwym człowiekiem, szanującym wielce nieposzlakowaność klejnotu herbowego i walor zacnego szlacheckiego imienia. W jednem tylko pieniactwie gotów był w każdej chwili dopuścić się najszpetniejszego uczynku, powiedziałbym owszem wierutnej infamii, gdyby już od lat kilkunastu nie spoczywał w grobie, i gdyby ta jego przewrotność nie była raczej skutkiem znarowionej głowy niż złego serca. Bo trzeba wiedzieć, że panu Skarbnikowi otrząsł się mózg cokolwiek. Uroiło mu się na seryo, iż skoro komuś wydrze coś najniesłuszniej ale prawnym wyrokiem, skoro jakąś najnierzetelniejszą sprawę prawnie przesadzi, tedy grzech i hańba nie spada za to na niego, ale na tych, co takie prawo wydali.

Oczywista iż przy podobnych maksymach sąsiedztwo z panem Skarbnikiem nie bardzo było przyjemne, szczególniej mnie, com z natury łagodny i spokojny odebrał temperament. Jakoż zaledwie powróciłem do domu, i objąłem ojcowiznę, zaraz pan Dyzma rozpoczął ze mną swoje zwyczajne palestranckie hece. I nuż mię tedy nagabywać to o to, to o owo, nuż nie wiedzieć za co i o co pieniać i włóczyć po sądach.

Z początku tentowałem zgody wszystkiemi sposobami. Gdy jednak pan Skarbnik moje poczciwe zabiegi poczytał za większy jeszcze assumpt do pieniactwa, i taki od napaści nie odstępował, namyśliłem się i ja inaczej. Boć nie wyciągając ręce po cudze, uważałbym sobie był za dyshonor, pozwolić alienować swoją własność.

Jakoż odpierając napaść jak przystało, uderzyłem sam wstępnym bojem na pana Skarbnika. Albowiem mówiąc nawiasowo, miałem prawo do sporego obszaru łąki, który on od lat kilkunastu nieprawnie dzierżał. Wytoczywszy mu tedy proces, tak dobrze attentowałem sprawy, iż w końcu najwalniejszą odniosłem wygraną. Pan Skarbnik odesłany został z swojemi pretensyami *ad calaendas graecas*, jakby był niegdyś powiedział ksiądz professor Gaudenty, a nadto musiał oddać mi łąkę kontrowersyjną i zapłacić dwieście czerwonych złotych kalkulacyi i kosztów procesowych.

Terazto potrzeba było widzieć, jak się pan Skarbnik zżymał i gniewał, jak klął i wygadywał! jak się osobliwie nie mógł posiąść w swej pasyi, gdy wszystko sąsiedztwo zaczęło dworować z niego po tym wypadku. Jedni przymawiali mu, że dał się własną bronią pokonać, drudzy że sam wilka wywołał z lasu, inni wreście że potknąwszy się tak grubo w pierwszym harcu ze mną, obali się jak długi w drugim lub trzecim.

Pan Dyzma nie mógł odgryzać się na wszystkie strony. Zaklął się przecież głośno na ciało i na duszę, i dał publicznie słowo szlacheckie, iż tę swoją przegraną sowicie powetuje, i takiego nawarzy mi bigosu, o jakim żaden z antenatów moich nie słyszał. Słowem te dwieście wywindykowanych czerwonych złotych miały mi stać się kiedyś dwustą kośćmi w gardle, dwustą kamieniami na sercu.

O czem dowiedziawszy się, dałem i ja z mojej strony słyszeć się także z dość uszczypliwemi przymówkami, co oczywiście jeszcze gorzej pogmatwało nasze stosunki.

Aliście właśnie w kulminacyjnym punkcie naszej niezgody, słyszę pewnego dnia trzask i huk na dziedzińcu! Zajeżdża przed ganek kolasa czterokonna, a w niej — pan Skarbnik Drohorucki Rogala.

Z początku nie wierzyłem własnym oczom. Zgłupiałem jak mi Bóg miły. Prędko jednakże

przypomniawszy sobie święte obowiązki gospodarza, opamiętałem się jakoś, i wybiegłem cożywo naprzeciw gościowi. Jeszcze też na ganku powitałem go uprzejmie i uczciwie, jak staropolski przykazywał obyczaj, a potem wprowadziłem go do izby, gdzie znowuż moja nieboszczka Zosieńka (świeć Panie jej duszy! z niemniejszą przyjęła go uczciwością.

Pan Skarbnik rozczulił się widocznie szczerością i serdecznością naszą. Toż zaraz po pierwszych słowach zaczął wymawiać się z swojego dotychczasowego postępowania, zaczął przepraszać za swoją agressyą niesłuszną, a przytem wysypał tyle najprzyjaźniejszych offert, żem się dalibóg do łez także rozczulił. Tymczasem dzięki nieboszczce! stanęła w tejżesamej chwili smaczna przekąska na stole, i znalazło się kilka bardyowek węgrzyna. Jęliśmy tedy uczciwie i godziwie oblewać za ciepła nową rekoncyliacyą sąsiedzką.

Przy trzeciej butelce, zasmolonej jeszcze przez ś. p. dziada Michała, podsędka samborskiego, stał się pan Skarbnik jeszcze czulszym, jeszcze serdeczniejszym, jeszcze hojniejszym w offerty i słodkie słówka.

„Panie Adamie Dobrodzieju!“— zawołał wreście ze łzami w oczach. — „Jam na czubki zasłużył, zrywając dobrą komitywę z waszmością.“

„Ot, dajmy temu pokój, mości Skarbniku! Na żywy Bóg ci przysięgam, że o niczem już nie pamiętam. Bo to jak mówią, co było a nie jest..... Ot, pijmy lepiej. Zdrowie waszmościnej jedynaczki!“ — odpowiedziałem panu Skarbnikowi, rad niezmiernie przyszłej zgodzie sąsiedzkiej, i rozczulony affektem dawnego adwersarza.

Na to pan Dyzma:

„Panie Adamie! Odtąd będziem żyli z sobą jak bracia ślubni. Gdybyś waszmość miał syna, musiałby albo żenić się z moją Magdusią, albo rąbać się ze mną. Bo chciałbym koniecznie węzłami familijnemi uświęcić affekt ku waszmości!“

Uściskałem znowu pana Skarbnika, przyrzekając mu odwzajemniać jego przyjaźń, ile tylko będzie w mojej możności.

A on na to:

„Jadąc do waszmości, byłem jakoś w nienajlepszym humorze. Lękałem się zawziętości mojego kochanego sąsiada. Człowiek widzi codziennie tyle zepsucia na tym świecie, że już i w staropolską cnotę powątpiewać zaczyna. Ależ waszmość — to szlachcic jeszcze starej daty! U waszmości serce jak klejnot herbowy, oboje — złoto najczystsze. Nie dziw tedy, iż przekonawszy się o szczerych sentymentach waścinych, napłakałem się dzisiaj jak chłopiec obłożony plagami. A choć sobie przykazałem milczeć jeszcze o pewnej rzeczy, toć widząc wylanie waszmości, i popijając to winko wyborne, pomne jeszcze lat dziadów naszych, ani rusz dotrzymać słowa. Serce miele, a słowa same z ust ci się sypią. Nie wiem tylko od czego zacząć, mości sąsiedzie. Bo to widzisz, przyjazd mój do ciebie, miał podwójną intencyą....“

„Tem lepiej panie Skarbniku“ — przerwałem. — „Tem fortunniejszy będzie to dla mnie dzień, im więcej będę miał okazyi przypodobać się waszmości.“

„Panie Adamie! niech mię wszyscy....! spodziewałem się po tobie tej odpowiedzi. Z największą tedy ufnością wyjadę z drugą intencyą moją, choć to rzecz delikatna.... Alić przedwszystkiem“ — dorzucił pan Dyzma zniżonym głosem — „czy wierzysz waszmość w sny?“

„Albożto ja heretyk czy farmazon, mospanie, abym nie miał wierzyć w co wierzyli nasi przodkowie, którzy to przecież byli nieposzlakowanymi katolikami! Alboż ja nie wiem, jakito sen miał pewnego razu sam mój ojciec nieboszczyk? A mój stryjaszek ś. p. pan podstoli Bolimowski“ — przypominałem sobie rozgrzany winem i serdecznością — „a moja wujenka pani podsędkowa Puchaczowska! Ba! ja sam nawet miewałem sny cudowne, które się spełniły co do joty.“

„Kamień z serca mi spada panie Adamie!“— odpowiedział pan Skarbnik uradowany mojemi słowy. — „*Tandem* mogę mówić szczerze do waszmości, nie lękając się niedowiarstwa albo szyderstwa. Bo to“ — dorzucił ciszej, marszcząc poważnie czoło, i uroczyście palec podnosząc w górę — „miałem sen....“

„Sen?“

„Osobliwszy!“

„A jaki?“

„Słuchaj panie sąsiedzie. Nie obcem ci zapewne nazwisko ś. p. stryja mojego, niegdyś porucznika kawaleryi narodowej, pana Bonawentury, coto na stronie regałów dał gardła pod Widawą. Byłto człowiek najwspanialszego serca, rębacz żeby się i sławnego w swoim czasie pana Rysia nie bardzo był przeląkł, ale niestety obałamucili go.... No, nie ma co gadać dziś o tem.... Dość że wielce podobnoś cierpi za to na drugim świecie....“

„Rozumiem, rozumiem. Alboż nie ma za co, panie Skarbniku dobrodzieju?“ — przerwałem.

„Prawda panie Adamie! Lecz kardynalny warunek dobrego chrześcijanina nie pamiętać umarłym. Jakoż nie upatrujmy w nieboszczyku adwersarza naszego, jeno duszę potępioną do czasu na tamtym świecie.

„A ktożby tam inaczej myślał, panie Skarbniku?“ — zawołałem. — „Wszakżeśmy wszyscy grzeszni.“

„Tak jest, panie Adamie! Nikt z nas bez grzechu“ — odpowiedział pan Skarbnik, zawracając oczy, i westchnąwszy głęboko. — „Lecz wróćmy do rzeczy. Owoż widzisz panie sąsiedzie, ten pan Bonawentura ukazał mi się we śnie przedwczoraj. O, gdybyś to wiedział co za noc miałem wtedy! Wyobraź sobie waszmość, zaledwie zmrużyłem oczy, tak około godziny pół do dwunastej, aż tu nagle jakiś dziwny rumor rozległ się po pokoju. Drzwi rozwarły się z trzaskiem, a ciężkim i chwiejącym krokiem zbliżył się ktoś do łóżka mojego. Choć to człowiek mospanie nie da się nastraszyć lada pęcherzem, toć przecież czułem aż przez sen, jak zimny dreszcz przenikał mię od pięty do czupryny, jak włosy zwolna kolcami stawały mi na głowie, a krew lodem ścieła się w żyłach. Chciałem ocknąć się ze snu, lecz nadaremnie! Ani ruszyć się z miejsca! Wtem — nad mojemi uszyma — ozwał się jakiś głuchy, grobowy głos:

„„Dyziu! poznajesz mię?““

„Spojrzałem przed siebie i truchlejąc — spostrzegłem we śnie znaną mi dobrze postać nieboszczyka stryjaszka Bonawentury. Lecz w jakże okropnym stanie! Przebóg! na samo wspomnienie zimny dreszcz mię przechodzi. Mospanie, gdybym miał wymowę księdza Marka, nie zdołałbym opisać owej okropnej boleści i smutku, które w całym jego malowały się aspekcie. Z piersi i czoła sączyła mu krew strumieniami, jak w chwili zgonu; z ust wyrywały się razporaz ciężkie westchnienia.“

„„Dyziu!““ — zawołał znowu tymsamym głosem przerażającym — „„ja cierpię, a cierpię wiele przez ciebie....““

„„Przezemnie?““ — wykrzyknąłem ledwo żyw, chcąc się gwałtem obudzić.

„„Przez ciebie mój drogi““ — powtórzyło widmo. — „„Pokutuję za Widawę, a ty mój najbliższy krewny zamiast uczynić coś na intencyą mej duszy, pomnażasz jeszcze moje cierpienia. Boć przecież wiesz, że sąsiad twój, pan Adam Godzięba, bronił niegdyś dobrej sprawy, szafował krwią dla ojczyzny, gromił do upadłego nasze zgubne zamiary. Dokuczając mu tedy rozmaitemi psotami, niepokojąc go ciągłem pieniactwem, przymnażasz mi tym sposobem męczarni. Każda bowiem wyrządzona panu Adamowi przez ciebie krzywda i niesłuszność, spada nową katuszą na mnie. Masz-li więc jaki siaki wzgląd na własną duszę i moje męki czyścowe, tedy zaprzestań natychmiast dalszych injuryj, i spiesz corychło przeprosić pana Adama.““

„„Ależ kochany panie stryjaszku dobrodzieju““ — zawołałem dzwoniąc zębami z przestrachu — „„ja mam przepraszać pana Adama, kiedy on mi właśnie wydarł najpiękniejszą łąkę, i kazał sobie dwieście czerwonych złotych wyliczyć kalkulacyi i ekspensów procesowych?!““

„Widzisz panie Adamie“ — wtrącił pan Skarbnik głosem skruszonym — „jakto człowiek i we śnie nawet nie może zapomnieć swojej krzywdy, choć urojonej. Snać nie podobało się to wielce nieboszczykowi, bo ofuknął mię surowo.“

„„Milczałbyś asan! Zamiast uznać swoją winę, oponujesz w zatwardziałości. Pan Adam odebrał, co mu się należało — i kwita. Asan zrobisz jak mu każe, bo i własną duszę zaonerujesz, i mnie większych nabawisz cierpień. Udasz się mówię, zaraz pojutrze do pana Adama. To serce szczere i poczciwe; ucieszy się przyszłą zgodą sąsiedzką, i nie odepchnie podanej sobie ręki. Tem ulżysz mi niepomału. A chcesz-li nadto uczynić coś znaczniejszego dla mojej duszy, tedy na intencyą mojego wybawienia wznieś kaplicę murowaną za zachodnim krańcu łanu, co go zwą Zagumienki....““

„„Stryjaszku dobrodzeju““ — przerwałem upominając — „„wszak to łan pana Adama!““

A on na to: „„Tedy umów się asan z panem Adamem. Toć przecież człowiek wspaniałego i pobożnego serca, uczuje miłosierdzie nad męczarnią duszy grzesznika.““

„A po tych słowach westchnął tak ciężko, że aż szyby zabrzęczały, i wyszedł wolnym a chwiejącym krokiem z izby, drzwi za sobą z trzaskiem zawarłszy.“

„Obudziłem się na to zziajany i zimnym zlany potem, jakgdybym noc całą polował był na susły, albo broń Boże! wyprawiał hece z czarownicami na łysej górze. Ochłonąwszy po niejakimś czasie z przestrachu, pomyślałem sobie: Czy tak czy siak, toć to zawsze skazówka niebios, znak woli Bożej, abym zaniechał sporu z panem Adamem, i pamiętał o grzesznej duszy. Postanowiłem tedy zaraz nazajutrz odwidzieć kochanego pana sąsiada,

a rehabilitowawszy świętą z nim zgodę, pomówić kiedyś przy okazyi, czy nie dałby się ów maluczki spłacheć ziemi na zagumieńskim łanie kupić od waszmości na kaplicę ku poratowaniu pokutującej duszy byłego porucznika kawaleryi narodowej.....“

„Co, co mospanie?!“ — krzyknąłem, zrywając się z miejsca obruszony. — „Ja mam ową nikczemną piędź ziemi na kaplicę dla czyjejś duszy pokutującej sprzedawać za pieniądze?! Albożto ja Luter czy Kalwin czy farmazon! O Matko Boska z Częstochowy! Chceszli panie Skarbniku budować na moim łanie kaplicę na intencyą nieszczęśliwej duszy stryja twojego, toć owszem ja sam będę cię w tem sukursował, i sumptu dołożę i ludzi jeszcze dostawię. A chcesz mospanie, to buduj sobie nie tylko kaplicę, ale i kościoł, ale i klasztor cały, byleś tylko ulżył mękom pana Bonawentury! Ja tynfa nie przyjmę jakem szlachcic! jakem katolik mospanie! A potrzebujesz waszmość pieniędzy na budowę, tedy powiedz, a zdejmę z siebie i ten pas, i ten żupan, i te hajdawery mospanie, aby tylko przyjść w pomoc duszy cierpiącej!“

Tak wołałem z wielkim ferworem, animowany po części pobudką religijną, po części też sympatyą dla nieboszczyka. Boć to choć w końcu podrwił sprawę, tak uczciwie przecież prawił Skarbnikowi we śnie o mojem sercu i moim charakterze, że nie tylko jego dawniejszą publiczną przebaczyłem mu winę, alić nawet jakąś żywą uczułem ku niemu inklinacyą. Jużto mospanie czego jak czego, ale próżności to snać człek najpoźniej się pozbędzie.

Pan Skarbnik widząc mój zapał, posunął ku mnie z rozwartemi ramionami, i uściskał, i ucałował mię jaknajserdeczniej. Przyjmując atoli moją ofiarę z kawałku ziemi na Zagumienkach, nie chciał w żaden sposób zezwolić, abym z mojej strony dokładał sumptu.

„Bo to“ — mówił — „wtedyby cała zasługa spadła na samego sąsiada dobrodzieja, a przecież słuszna, abym ja najbliższy powinowaty nieboszczyka pana Bonawentury, przyłożył się głównie do rzeczy.“

Nie można było oponować, zarzut był słuszny. Zgodziwszy się tedy obopólnie, poczęliśmy nasz przyszły dobry uczynek nowemi uświęcać wiwatami. I piło się tedy, facecyonowało, spiewało, gwarzyło aż do poźnego zmierzchu: — chociaż — mam-li szczerą prawdę powiedzieć — nie wiem bynajmniej, co się właściwie robiło dalej. Bo pana Skarbnika wyniesiono podobnoś na ręku do kolasy, a ja obudziłem się nazajutrz dopiero koło południa, nie mogąc sobie żadną miarą przypomnieć, jak i kiedy dostałem się do łóżka.

Pamiętaliśmy jednakże obadwaj naszą umowę. Zaraz też na trzeci dzień po naszem pojednaniu zaczął pan Skarbnik budować kaplicę na Zagumienkach, a trzeba przyznać kaplicę okazałą. W powszedni dzień byłby się jej i sam Rzym nie powstydził! Byłaż bo i z ołtarzykiem, i z obrazami, i wielką lampą u sklepienia, i kopułą, i krzyżem na szczycie, z malowanemi sztachetami dokoła i topolami po rogach. Całe sąsiedztwo podziwiało zacne dzieło pana Skarbnika, a i ja z mojej strony rad mu byłem niezmiernie. To mię tylko gniewało, że zaraz o kilka kroków od miejsca świętego wystawiono wkrótce rogatkę, i osiadł Żyd na mycie. Bo zapomniałem powiedzieć, że tuż obok owego łanu Zagumieńskiego, równocześnie z pierwszemi fundamentami kaplicy, zaczęto budować główny gościniec murowany do Krakowa. Owoż gdy ukończono drogę, wypadł pobór myta jakby umyślnie przy samym łanie Zagumieńskim. Musiano więc obok kaplicy wystawić chałupę dla poborcy, i wznieść ów drąg malowany, co we dnie wygląda jak szubienica bez delinkwenta, a w nocy przegradza drogę podróżnym.

Proponowałem tedy panu Skarbnikowi, aby jakim sposobem postarał się o przeniesienie myta o kilkanaście kroków dalej. Lecz on był wcale przeciwnego zdania w tym względzie.

„Kochany panie Adamie!“ — mówił mi — „to myto, to widoczna łaska niebios na duszę nieboszczyka stryjaszka Bonawentury. Bo widzisz dobrodzieju: każdy podróżny, każdy przejeżdżający, musi przez kilka chwil zatrzymać się przy mycie, widząc zaś tak piękną i wspaniałą kaplicę, chyba Kalwin nie zmówiłby pacierza. A każdy taki pacierz, to mospanie kropla balsamu na grzeszną duszę nieboszczyka porucznika kawaleryi narodowej.“

Przyznałem racyą panu Skarbnikowi, boć argumentował wcale do rzeczy i z zwyczajnym sobie rezonem. Pogodziłem się i z budą mytową i z drągiem malowanym, i nie myślałem więcej o kaplicy. Za toż pamiętał o niej pilnie sam pan Dyzma. I przyznać trzeba że nie było ani jednego kwartału, w którymby nie podejmował jakiejś reparacyi, jakiegoś upiększenia bądź to około jej wnętrza, bądź około murów i sztachetów. To pobielał ją z wierzchu, to malował we środku; dziś dawał nowy zamek do drzwi, jutro nowe szyby do okien, raz stawiał nowe gra-

dusy, nowe lichtarze przy ołtarzu, drugi raz robił jakieś zmiany na dachu, podejmował jakieś reparacye u kopuły. Słowem tak często gęsto krzątał się koło niej, że zaczęto głośno dworować z niego w całem sąsiedztwie. Wszystko to jednak nie zrażało go wcale. Owszem z każdym rokiem zajmował się skrzętniej swoją kapliczką, którą w całej okolicy zwano „kapliczką Skarbnikowską“.

Przy tem wszystkiem nie porzucił pan Dyzma swoich pieniackich nawyknień, i razporaz to z tym to z owym sąsiadem procesował się na zabój, jak nawykł od młodości. Jeno ze mną jednym zachowywał od czasu pojednania, czyli raczej od owego snu swojego, jaknajserdeczniejszą przyjaźń i zgodę. Jakoż przez całe pięć lat naszej rekoncyliacyi ani jedna chmurka nie zasępiła naszego pożycia sąsiedzkiego. Wszyscy dziwili się niepomału, a niejeden z okolicznej braci szlachty modlił się nawet zcicha do nieboszczyka pana Bonawentury, aby zjawił się po raz drugi swojemu niespokojnemu synowcowi, i zmiękczył mu serce do zgody z sąsiadami.

Aliście jakoś właśnie w tym czasie, t. j. w szóstym roku rehabilitowanej zgody z panem Skarbnikiem, spadło na mnie po nieboszcce wujence Katarzynie Hrecczyszyńskiej, podstolinie bolimowskiej, mała sukcesyjka, 1000 czerwonych złotych w gotówce. Dla podniesienia tej sumki jako też dla dopełnienia różnych innych niezbędnych formalności sądowych, musiałem na całe trzy tygodnie wybrać się do Lwowa. Wszystek zarząd domu i gospodarstwa poruczyłem na ten przeciąg czasu mojemu ekonomowi, ś. p. Grzegorzowi Pikulskiemu, bo nieboszczka Zosieńka jechała ze mną.

Ten Grzegorz Pikulski, *recte* Pikuła, byłto sobie ot zwyczajny ekonom pośledniejszy; boć ekonomowie wyższego ordynku, jak np. Radziwiłłowscy, Sapiehowscy i tym podobni, byli szlachta ryczałtem, a pan Pikulski nie miał do tego najmniejszej pretensyi. Być też może, że właśnie z okazyi tego swojego pochodzenia byłto prostak zupełny, nie umiejący nic zgoła, chyba władać nahajką. A ilekroć został bez dyspozycyi, to zaraz upił się jak cztery dziewki, co też powtarzało się regularnie w niedziele i święto. Ale iż ztemwszystkiem był dość poczciwy, i do osoby mojej z wielkim afektem, a mimo licznej rodziny nie miał świerszczbiączki w ręku, i w dnie powszednie nigdy prawie nie zajrzał do butelki, trzymałem go od lat kilkunastu, i nie oddaliłem dopóki żył.

Owoż jemuto poruczyłem wigilancyą nad domem i gospodarstwem, a powtórzywszy pokilkakroć jaknajdobitniej wszystkie instrukcye i dyspozycye wyjechałem do Lwowa. Nie bawiłem tam tak długo, jak sobie wystawiałem. W jedynaście dni uspiałem załatwić wszystkie moje interesa, a dwunastego wybrałem się z powrotem do domu. Pamiętam jak dzisiaj, że przez całą drogę jakieś fatalne natrącały mi się omina, łubo nie zwracałem na nie uwagi. Dopiero dojeżdżając do domu, ni ztąd ni zowąd ogarnęła mię jakaś niespokojność, a ta zwiększyła się niemało, gdy na zakręcie do wsi ujrzałem Pikulskiego, bieżącego naprzeciw mnie.

„A co tam Pikulski“ — krzyknąłem — „czy nie przypadek jaki?“

„Nie, dzięki Bogu“ — odparł kłaniając się z jakąś dziwnie zafrasowaną miną. — „Wszystko dobrze, ale....“

„No ale?“

„Ale pan Skarbnik“ — wybąknął, i uciął.

„I cóż pan Skarbnik, mówże do wzystkich...?!“

„Pan Skarbnik zaraz po wyjeździe wielmożnego pana zerwał w jednym dniu swoją kaplicę.“

„Oszalał!“ — zawołałem.

„Gdzietam oszalał“ — odrzekł wstrząsając głową zafrasowany Pikulski. — „Zerwał kaplicę, a karczmę wybudował.“

„Co karczmę w miejscu kaplicy! Czyś asan upił się dzisiaj? Czy ci może piąta klepka wypadła z głowy?!“

„Wolne żarty wielmożny panie, ależ łacno się przekonać, bo karczma stoi już jak na dłoni. Pan Skarbnik zwinął się prędko; miewał po kilkudziesięciu robotników codziennie; dziś dokończą zapewne dachu pobijać.“

„Jakto? więc na moim gruncie pan Skarbnik zbudował karczmę, a asan temu nie przeszkodziłeś....“

„Chciałem, ale....“

„Ale co tam do krocset!....!?“

„Nie miałem dyspozycyi, wielmożny panie!“ — wybełkotał, spuszczając głowę na piersi.

„Przepadłbyś asan z swoją dyspozycyą! Franek obracaj cożywo do kaplicy!“

I zamiast do domu pognałem natychmiast na Zagumienki. Bo ciągle jeszcze nie dowierzałem dziwacznej relacyi Pikulskiego. Wnet jednakże stanęła mi rzeczywistość widomie przed oczyma. Podjechawszy nieco bliżej ku Zagumienkom, przekonałem się na własne oczy, że na miejscu dawnej kaplicy, stanęła już karczma drewniana z podwójnym zajazdem

i obszerną stajnią. Kilku cieśli pobijało jeszcze wierzchołek dachu, a kilku innych robotników narzucało glinę na ścianę, i grodziło płot dokoła.

Na ten widok krew zawrzała mi w żyłach. Wpadłem w furyą gwałtowną. Bo jakto mospanie zrywać kaplicę, i na temsamem miejscu poświęcanem budować karczmę, i to pod niebytność prawego właściciela gruntu! Toć rzecz prawdziwie niesłychana! toć infamia wierutna! Pzeco niepohamowaną miotany pasyą, kazałem co koń wyskoczy pędzić ku karczmie. W kilka minut byłem już na miejscu.

„Coto ma znaczyć łotry, hultaje!“ — krzyknąłem, trzęsąc się od złości. — „Coście tu wybudowali?!“

„Sam to widzisz panie sąsiedzie! Lichą, niepokaźną karczemkę“ — ozwał się w tej chwili znany mi głos pana Skarbnika, wysuwającego się z środka budynku!

„Jakto karczemkę! karczemkę na miejscu poświęcanem?!“

„Ależ panie sąsiedzie dobrodzieju umityguj się cokolwiek, i nie krzycz z takim ferworem“ — rzekł pan Dyzma na poły szyderczym, na poły słodkim głosem. — „Opowiem ci rzecz całą co do joty. Chciałem ci nawet napisać o tem do Lwowa. Bo to widzisz waszmość, tejsamej nocy, kiedy wybrałeś się z domu, nieboszczyk stryjaszek ukazał mi się znowu we śnie, i powiedział mi wyraźnie jak wprzódy:

„„Dyziu! jacyś łotrowie przechodzący znieważyli kaplicę, na intencyą mojej duszy wybudowaną. Musisz ją zerwać zaraz nazajutrz, i wystawić karczmę w temsamem miejscu. Jam już szczęśliwy, obejdę się bez kaplicy.““

„Jakto! Tożby szanowny stryjaszek nieboszczyk podał taką radę waszmości!“ — zawołałem w większą jeszcze furyę wprowadzony temi słowami.

„Nikt inny“ — panie Adamie dobrodzieju.— „Zrobiłem co rozkazał.“

„Jeśli tak“ — krzyknąłem folgując językowi — „tedy ów szanowny stryjaszek waszmości jak był grzesznikiem na ziemi, tak jeszcze gorszym został po śmierci! Boć nikt uczciwy nie mógłby czegoś podobnego doradzić.“

„Bardzo proszę, mości sąsiedzie“ — rzekł pan Dyzma, podnosząc głos, i prostując się na palcach — „mój stryjaszek zwał się Rogala!“

„A niech się tam zwie jak chce! Toć mnie to wszystko jedno. Na jego ladajakie słowa nie pozwolę zbezczeszczać miejsca poświęconego, a temmniej budować karczmę na moim gruncie!“

„Na waszmościnym gruncie? zwolna, zwolna panie sąsiedzie, myśmy za nadto starzy, aby się bawić w zagadki. Cożto waszmość chcesz tem powiedzieć? Żeś mi tam przez korrupcyą i inne praktyki niesumienne wywindykował łąkę i dwieście czerwonych złotych jakiejś urojonej kalkulacyi, toć już chcesz mię odrzeć ze skóry, chcesz mię wyzuć nawet z tej lichej garści ziemi, która zdawiendawna do mnie należy.“

„A Matko Boska! Ten kawał zagumieńskiego łanu zdawiendawna do waszmości należy!“

„A jużci, tak jak łan cały, który waszmość dotąd jeszcze dzierżysz nieprawnie. Lecz o tem już ani mówię, chcę jeno bronić co dziś posiadam. A że obecnie posiadam w istocie ten kawał ziemi, tego nie potrzebuję dowodzić, boć to rzecz wiadoma całemu światu. Wszak cała okolica jest świadkiem, ze gdzie stoi karczma w tej chwili, tam stała do niedawna kaplica „Skarbnikowska“. A będzieszże waszmość mógł zaprzeć w żywe oczy, jakom ja Dyzma Rogala nie budował przed sześcią laty kaplicy tej swoim sumptem? jakom jej zawsze w dobrym stanie nie utrzymywał, nie malował, nie bielił, nie reparował, nie dozierał? A w obec takich cirkumstancyj nie byłżem prawnym panem i dziedzicem kaplicy *cum omnibus attinentiis et pertinentiis?* Alboż to waszmość wnosiłeś kiedy protest przeciw mojej posesyi *usque ad hoc.*“

Osłupiałem, zgłupiałem! Dopiero po niejakimś czasie pojąłem całe znaczenie repliki pana Skarbnika, a ochłonąwszy wreście z pierwszego odurzenia, ozwałem się drżącym z indignacyi głosem:

„Mości Skarbniku, nie warteś, aby szlachcic uczciwy zapuszczał się z tobą w dłuższe wywody. Pogadałbym z waszmością szablą— ale i na to nie zasługujesz.“

Pan Skarbnik nabiegł krwią cały. Żyły na czole nabrzmiały mu jak postronki, a wargi zadrgały jak w konwulsyach. Nie zważając na to zwróciłem się do majstrów i robotników, i zawołałem donośnym głosem:

„Hej hultaje! jak mi duchem nie wyniesiecie się z mojego gruntu, i nie zaniechacie dalszej roboty, to czyście Skarbnikowscy czy nie Skarbnikowscy, popamiętacie mnie do samej śmierci. Każe wam tak wygarbować skórę nahajem, że to pewnie nie zaraz przyschnie na was!“

„Zwolna mospanku!“ — przerwał mi nagle pan Dyzma, pieniąc się cały od złości. — „To

moi ludzie, mnie tylko winni obedyencyą. Z waszmością pomówimy sobie gdzieindziej. Tu zaś wypraszam sobie burdy, boć jakem szlachcic! i u mnie krew nie woda!“

„Obaczymy to zaraz, mój ty mości Skarbniku!“ — odparłem, i nuż cożywo kazałem ruszyć Frankowi, aby co koń wyskoczy pędzić do wsi.

Wjechawszy między swoich, jak krzyknę na Pikulskiego i dworskich, a ci jak skoczą do wsi, jak hukną na chłopów, toż w jednem mgnieniu oka cała prawie wieś zleciała się do dworu. Powiedziawszy kilką słowy o co rzecz idzie, kazałem żwawszej drużynie pospieszyć za mną, i w takim poczcie wyruszyłem na Zagumienki. Ujrzawszy nas zdala, czmychnął pan Skarbnik, lecz majstrom i robotnikom kazał pod surową karą zostać na miejscu. Usłuchali na nieszczęście własnej skóry, bo zastawszy ich przy robocie, nie zważałem bynajmniej na słuszne czy niesłuszne wymawiania się, lecz uniesiony pasyą.... ha cóż! — skrzywdziłem (jak to dzisiaj widzę) ludzi niewinnych.“

Poczem otoczywszy karczmę gromadą, kazałem podłożyć ogień pod wszystkie cztery rogi, i dopóty nie ruszyłem się z miejsca, dopóki cały budynek w moich oczach nie zgorzał na popiół. Nazajutrz zaś postanowiłem zbudować na zgliszczach nową kaplicę.

Aliście dowiaduję się z boku, że pan Skarbnik jeszcze tegosamego dnia pognał osobiście do sądów, wniosł żałobę o gwałt i napad publiczny, o pokrzywdzenie sług i poddanych, o turbacyą i expulsyą z własnej posiadłości, a nadto namalował na mnie kilkaset czerwonych złotych pretensyj.

Ufny w słuszność mojej sprawy, nie robiłem sobie nic z tego, choć żałowałem potroszę, że nazbyt uniosłszy się furyą, poturbowałem niewinnych cieśli, mularzów i robotników. Wtem dowiaduje się znowu, że zaraz nazajutrz zjechała z komornikiem granicznym jakaś groźna komisya w sprawie popełnionego przezemnie gwałtu, ba! że na prawdę zarzucają człowiekowi formalny krymen, a nawet coś i o turmie przebąkują. Po takiej siakiej deliberacyi z sobą samym, zacząłem się jakoś niepokoić potroszę, boćto obłożyć kogoś bizunami na publicznym gościńcu i spalić karczmę, choćby swoją własną, to pachło coś kozaczyzną. Do tego coraz więcej niepokojące dochodziły mię wieści. Spisywano na mnie jakieś nieskończone protokoła, wysłuchywano pokrzywdzonych robotników Skarbnikowskich, odbierano juramenta, instygowano Pikulskiego i moich własnych poddanych. Gotowałem się dopiero do obrony, gdy tymczasem zapadł już wyrok co do głównej kontrowersyi o karczmę.

Pan Skarbnik dowiódł niezbitemi świadectwami a po części nawet mojem własnem zeznaniem, że kaplica która pierwej stała na łanie Zagumieńskim, zwała się powszechnie kaplicą Skarbnikowską, że on ją sam na intencyą duszy swojego stryjaszka nieboszczyka jawnie i otwarcie własnym budował sumptem, a w ciągu całej budowli najmniejszego z mojej strony nie doznawał oporu, dalej że przeznaczoną kaplicę on zawsze trzymał w swojem posiadaniu, bo co roku ją reparował, bielił, malował i pobijał.

Owoż na fundamencie tych wszystkich prawnie dowiedzionych okoliczności przyznał sąd *prowizoryum* panu Skarbnikowi, a temsamem i prawo do wybudowania karczmy na spornem miejscu. Mnie zaś z wszelkiemi pretensyami i uroszczeniami do owego kawału ziemi odesłał *ad viam juris*, i zadekretował nadto, abym zapłacił koszta sądowe i wynagrodził panu Skarbnikowi wszelkie szkody poniesione przez turbacyą w prawem posiadaniu, jako też przez spalenie.

Tymczasem sprawa o gwałt publiczny, o napad, pokrzywdzenie robotników i ekspulsyą z własnej posiadłości, jaką mi osobną wytoczył pan Skarbnik, nietylko ciągnęła się dalej, ale owszem coraz groźniejszą zaczęła przybierać fizyognomię. I gdyby najprzód nie poruszenie się własnego sumienia i szlacheckiego serca pana Dyzmy, a następnie tysiąc czerwonych złotych, które i tam i sam zcicha wepchnąłem, byłby mógł człowiek za taki nierozważny w furyi popełniony uczynek, postradać i uczciwe imię szlacheckie, a nawet wleźć do turmy. Na szczęście jednakże poruszyło się jak powiedziałem sumienie w panu Skarbniku. Odstąpiwszy tedy *sua sponte* od procesu, sam potemu wszelkiemi sposobami o to się starał, aby zatrzeć corychło tę całą sprawę, w czem mu moje czerwone złote, z boku szafowane, najwięcej ponoś pomogły.

Tak, nieszczęśliwe pieniactwo pana Skarbnika pozbawiło mię i łanu Zagumieńskiego i spokoju przez czas nie mały i sporej wreście sumki pieniędzy. Za co wszystko tylko jedną odniosłem akwizycyą. Od tego czasu nie wierzę w sny, choćby nawet i swoje własne.

Walery Ł.

Pseudonymy pieniędzy. Każden język posiada pewne wyrazy szczególne, których ile możności unika w pismie i potocznej rozmowie. Zdawałoby się że wszystkie takie słowa nie mogą mieć żadnego wybitniejszego w życiu znaczenia, a mało kto zechciałby uwierzyć do razu, że jednym z podobnych starannie omijanych i unikanych wyrazów jest właśnie owo najpotężniejsze hasło naszego nowoczesnego społeczeństwa, owo wszechwładne bożyszcze teraźniejszego kupieckiego, kruszcowego wieku: pieniądze. Rozpatrzywszy się atoli bliżej w zwyczajnym biegu powszedniego życia, postrzeżemy z niemałem zadziwieniem, jak często a może i nieświadomo do najróżniejszych uciekamy się środków, jak wielu używamy sposobów, synonimów, wykrętów, aby tylko ominąć, osłonić, zamilczeć ów nieszczęsny wyraz: pieniądze. Idzie np. o zapłacenie pieniędzy wyższą instancyą nakazane, tedy stosownie do okoliczności nazywamy je wnet podatkiem, wnet kontrybucyą, wnet daniną lub kalkulacyą. Pieniądze własną zarobione pracą zowiemy: salaryum, emolumenta, gaża, pensya, honoraryum, płaca, wynagrodzenie, kubany. Damy coś komuś z własnego popędu, tedy udzielamy mu nie pieniędzy ale jałmużny, zapomogi, wsparcia, datku. Wynagradzając jakąś wyrządzoną nam przysługę, dajemy poczestne, kolędę, renumeracyę, gratyfikacyę i t. p. A prócz tego wszystkiego nie mówimyż zwyczajnie wszyscy: Nie będzie *za co* dać się pochować, nie ma żyć z *czego*, nie było o *czem* pojechać za interesem? Słowem, we wszystkich naszych stosunkach społeczeńskich przebieramy, ukrywamy, maskujemy słowo *pieniądze* tak zręcznie i starannie, że jakby jaki Proteusz kruszcowy objawia się nam ono co chwila w innej postaci. I jakże się tu dziwić, że te zmienne, niestałe, trudne do ujęcia i zatrzymania *pieniądze* tak łatwo wymykają się nam z kieszeni!

Woda i rośliny. Aby chemicznie roztworzyć zwyczajną żywność roślin, takzwaną ziemię krzemienną, potrzeba 1000 części wody. Zastosowując to do roślinności całego kraju, można sobie wystawić, jak bezzmierną ilość wody wsiąka ziemia codziennie, aby otrzymać dostateczny zasób roztwarzającego płynu. Świat roślinny jest niejako gąbką, utrzymującą wilgoć na powierzchni ziemi. Ztąd też w kraju, ogołoconym naraz z lasów, nastaje zazwyczaj zmiana klimatu, i dają się czuć różne inne szkodliwe wpływy, i to zaledwie w przeciągu lat kilkudziesięciu po wykorczowaniu lasów. Toż i rzeki nasze dostają z każdym dziesiątkiem lat coraz szerszych koryt, bo w miarę umniejszania się lesistości w kraju, pomnażają się zasoby wody w rzekach i strumieniach. Lekkomyślne też wykorczowywanie lasów jest w wielu względach zbrodnią, popełnioną na kraju i jego mieszkańcach.

Starodawna facecya. „Zębocki nieboszczyk“— opowiada pewien znamienity pisarz epoki Jagiellońskiej — „wspominał mi o jednym skąpcu, który nie chcac na ten czas zboża przedać, kiedy było drogie, nadziewając się jeszcze większej drogości — gdy obaczył że co dalej, to bardziej na dół zstępuje, obiesił sie z desperacyej. Gdzie na ten czas sługa jego niedaleko będąc, a słysząc niezwykły kołat w komorze, werwał się tam, i pana już wiszącego odciął. Nierychło potem on nędznik, kiedy przyszedł ksobie, chciał koniecznie, aby mu sługa powróz zapłacił, powiadając: iż jeśliś ty mnie chciał od śmierci wrócić, mogłeś to uczynić powroza nie psując.“

Chińscy lekarze. W ucywilizowanej Europie przywołujemy lekarza, gdy nas choroba powali na łoże, lekarz przybywa, t. j. robi nam wizytę, nazajutrz odwidza nas znowu, taksamo i w dniu następnym, dopóki nie umorzy albo chorobę, albo chorego. W ten sposób lekarze nasi żyją i utrzymują się tylko z choroby, zdrowie zrujnowałoby ich do szczętu. Im dłuższą i cięższą nasza choroba, tem pełniejsza kieszeń lekarza. Gdyby mu się jakimś cudownym sposobem powiodło wytępić w nas wszelki zaród choroby, zamknęłoby mu się jedyne źródło dochodu. Lekarz, którego pacyenci nie zapadaliby nigdy na zdrowiu, musiałby sam pojść do szpitalu. W Chinach dzieje się wcale przeciwnie. Tam wybiera sobie każdy stałego lekarza domowego, i płaci mu tylko wtenczas, gdy zdrów zupełnie. Za każdy dzień bez wszelkiej słabości i dolegliwości otrzymuje lekarz chiński od swojego pacyenta małe wynagrodzenie pieniężne; gdy pacyent zachoruje, lekarz nie bierze ani grosza aż do zupełnego umorzenia choroby. Każdy ból głowy pacyenta robi uszczerbek, jego kieszeni, a najmniejsza niestrawność chorego oddziaływa na jego własny żołądek. Lekarz chiński musi starać się wszystkiemi siłami, aby wszyscy pacyenci w jaknajczerstwiejszem znajdowali się zdrowiu. Pielęgnuje ich też z zajwiększą pieczołowitością, wiedząc dobrze, że każdy dzień ich choroby, sprawia uszczerbek jego kieszeni. Jego majątek wzrasta tylko z siłą i korpulencyą pacyenta, a wraz z rumieńcem wracającego zdrowia na policzkach chorego, wraca też pomyślność jego stosunków materyalnych.

Nie szlachetny, nie urodzony ale wielmożny. „W Łęczycy na rokach“ — czytamy w pewnym starożytnym pamiętniku — „miał starosta jeden, którego mianować nie chcę, dwu sług swych, którzy tego pilnowali, tuż przy woźnym stojąc, aby pana ich u sądu nie zdano. Tak że gdy przyszła tegoto starosty akcya, zawołał woźny: Szlachetny panie (i mianował go) stawaj do prawa! A sługa jeden z onych dwóch, chcąc pana wyżej podnieść, rzekł do woźnego: Nie szlachetny masz mówić ale urodzony. A woźny znowu: Nie szlachetny ale urodzony panie stawaj! Drugi sługa zasię oburzył się na woźnego, i rzekł: Nie urodzony, bodaj cię zabito, ale wielmożny. Dopiero woźny odprawił: Nie szlachetny, ani urodzony, ale wielmożny panie starosta bywaj do prawa. Owa pan starosta nie był ani szlachetnym, ani urodzonym, a przecież wielmożnym!“

Wolter i Piron. Pierwsze przedstawienie Semiramidy Woltera doznało bardzo chłodnego przyjęcia ze strony publiczności. „Cóż pan sądzisz o tej sztuce?“ — zapytał autor po pierwszym akcie Pirona, którego jak wiadomo nie lubił z głębi serca. „Sądzę“ — odpowiedział żywo zagadniony — „iż życzyłbyś pan sobie z całej duszy, abym ja był autorem.“

Nieporozumienie. Pewien kupiec, potrzebując posługacza do sklepu, przybił na murze obwieszczenie: „Poszukuje się chłopca.“ Nazajutrz znalazł na temsamem miejscu koszyk zawieszony na gwoździu, a w nim małego chłopczyka i kartkę z napisem: „Oto go masz.“

Żart. — Mała potrzeba więcej potrzebuje, niżeli największemu zbytkowi zbywać może.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*